Lwów, 6. Kwietnia. №41. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następne po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą **10** kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Dwa nowe epizody.

(Ciąg dalszy.)

Dwa lata, póki się je ma przed sobą, wydają się długie, nieskończone prawie, a gdy się je przebędzie, jakże się krótkiemi wydają. Przyczyna temu nader jasna. Bo człowiek w tę przestrzeń czasu choćby najkrótszą, rzuca przed siebie taką massę żądań i nadziei, iż ogrom tych domagań się u przyszłości, mogący się ledwie pomieścić w krótkiej przestrzeni, zwiększa ją w stosunku do nienasyconej objętości żądającej wyobraźni. Lecz gdy ta przestrzeń czasu już jest za nami; z tych wszystkich żądz, domagań się, nadziei, jakże mało jeżeli nawet są jakie, zostaje pamiątek, po których by człowiek jak po skali mierniczej, mógł przemierzyć czas miniony. Jeżeliby wolno było pospolitego użyć porównania, powiedziałbym, że czas przed nami, wydaje nam się jak pęcherz, nadęty do ogromnego rozmiaru oddechem piersi naszych; i godzina za godziną, co było gorącym oddechem wybiega próżnym wiatrem, aż nam nareszcie ten czas za nami, wyda się pęcherzem skurczonym, pomiętym i pomarszczonym, który w najciaśniejszą schować można kryjówkę. Dwa lata przeminęły równie szybko dla pana Kazimierza w pośród najrozmaitszego życia po różnych krajach i stolicach, jak i dla jego rodziny pozostałej w Chałupińcach wpośród życia jednostajnego i powolnego. Zbliżał się już dzień powrotu pana Kazimierza, mający stanowić drugą część naszej powiastki. Aby więc obie części dla lepszej przedmiotu zrozumiałości połączyć razem, nie wdając się w długie dzień po dniu zdarzeń minionych opisy, dwie tylko zeszkicuje krótkie sceny które o pareset mil odległości, o jednej prawie odbyły się godzinie i chwili.

Jesteśmy najprzód w Paryżu, w tem mieście największych i najlichszych ludzi i rzeczy, w stolicy najwznioślejszych i najpodlejszych myśli i czynów, w ognisku w którem wyrabia się wszystko, co ma pójść w świat cały, cnotą czy zbrodnią, poprawą czy zepsuciem, rozumem czy głupotą, złotem czy błotem; bo Paryż jest niezaprzeczenie głową świata, zdolną jak każda głowa, wyledz myśl uwieczniona czy pamiątką monumentalnej piramidy czy pamiątką karzącej szubienicy. Na ulicy Breda tak dobrze znanej nam polakom, namiętnym zwolennikom powieściarstwa francuskiego, ulicy Pawła Koka, Balzaka i tylu innych powieściarzy, ulicy należącej do parafii Matki Boskiej Loretańskiej, od której dzisiejsi francuzi, godni potomkowie wolterowskich dziadów, przezwali loretkami zamieszkałe w tej dzielnicy miasta piękności lekkomyślne; na ulicy tedy Breda, wejdźiemy do porządnego hoteliku, czystego, cichego i zamkniętego w dzień jakby klasztor, a otwartego w nocy jakby nasza karczma polska. Na pierwszem piętrze był apartament, ale nie w powszechnym francuskiem znaczeniu, wedle którego, lada najciaśniejsza dziura, przepierzeniami na mniejsze dziury podzielona zowie się apartamentem. Nie! było to pomieszkanie złożone z kilku obszerniejszych pokoi, utapetowane, uporządkowane, ozwierciadlone i przystrojone nareszcie w sposób, którego wytworność gdybym był pisarzem felietonowym francuzkim, dałaby mi przedmiot do zapełnienia dwóch przynajmniej prześcieradłowych gazet francuzkich. Ale że nasze polskie sumienie powieściarskie jest w tej mierze zanadto drażliwe, (prawda że niema na nie takiego jak w Francyi, dziennikarskiego i księgarskiego pokupu,) odeszlę ciekawych, do pierwszej lepszej powieści, dawnej czy nowej Balzaka czy Dumasa, Suego, czy Souliego. Dosyć że było bardzo strojnie i wytwornie w tem pomieszkaniu, było wiele zbytku łożonego więcej na fraszki niżeli na rzeczy pożyteczne; było nareszcie wiele gustu, czyli raczej wiele gustów najrozmaitszych, których niejednolitość i kapryśność nadawały pomieszkaniu temu charakter nieco pstrokaty.

W tem pomieszkaniu jest podłużna salka jadalna niby, a niby salonik, bo są i sofy i kanapy, i stół jadalny okryty resztkami sutego bankietu. Przez drzwi otwarte widać kilka jeszcze pokoi, buduarów i alków, kończących się na ostatniej alkowie najstrojniejszej, która kończy perspektywę pokojową widokiem wielkiego i wytwornego łóżka, jedwabnemi kołdrami obsłonionego. Wszystko w tem pomieszkaniu dla obznajomionego ze zwyczajami paryskiemi, nosi cechę kobiety i to Loretki. Dla paryżanina jednakże byłoby to rzeczą głębokiego namysłu, jeżeliby paryżanin mógł długo i głęboko myśleć, bo w kącie owego czy salonu czy jadalni, stała fajczarnia najkompletniejsza; fajczarnię taką, chociaż francuzi pletą nieraz o cybuchach, bursztynach, narguilesach, i Bóg wie jakich rodzajach puszczania wonnego dymu, można tylko zdybać na naszej ziemi polskiej. Dosyć, aby długo nie nudzić, była w tem po-

mieszkaniu mieszanina życia, bym się tak wyraził, kawalerskiego obojej płci. I tak było w rzeczy samej. W tem bowiem pomieszkaniu mieszkali od sześciu już miesięcy, nasz pan Kazimierz z panną Eugenią, czystą paryżanką, *pur sang*, o nosku zadartym, oczach ciemnych a figlarnych, rysach i piękności szatańskiej, o kibici i stroju cudownie czarownych. Panna Eugenia przebyła oczywiście wszystkie konieczne koleje loretki. Urodzona w loży odźwiernego na ulicy św. Dionizyusza, w dwunastym roku była dziewczyną, w czternastym haftarką, w szesnastym gryzetką, w osiemnastym kochanką pełnego nadziei ucznia praw na ulicy św. Jakóba; w dziewietnastym przeniosła się na drugą stronę Sekwany, bo uczuła w sobie powołanie do sztuki choreograficznej, w czem ją utwierdził stary i lichy potomek jakiegoś towarzysza św. Ludwika, a że sama była figurantką, więc lubiła figurantów, między któremi był i Markiz i Wodwilista i naturalnie recenzent jakiegoś małego teatru, i wielu innych. Eugenia, prawdziwa patriotka, oddawszy ojczyznie i współziomkom co ojczyznie i współziomkom była winna, w roku dwudziestym czwartym zaczęła podbijać cudzoziemców siłą swych wdzięków, i jak każda prawa loretka zaczęła od anglików i Rossyan, póki w roku dwudziestym osmym lub trzydziestym nie skończy na polaku, hiszpańczyku lub włochu. Owoż choć już przyszła panna Eugenia do polek, hiszpanek, włoskiej epoki, była jeszcze pełna życia i wdzięków, nienasycona żadną roskoszą, ani też żadnym workiem. Kochała pana Kazimierza, namiętnie i wściekle, czego najlepszym było dowodem, że go namiętnie obdzierała. Naturalnie w tak lubem towarzystwie te sześć miesięcy przeszło jak sen, a polskie dukaty jak mara. Teatr, spacery, a mianowicie gra, obiadki i kolacyjki następowały po sobie bez przerwy. A że i francuzka i polak są zwykle nadzwyczaj towarzyscy, więc po malu uformewało się w koło pana Kazimierza i liczne dosyć i doskonale dobrane grono przyjaciół i przyjaciołek, którzy gineli za panem Kazimierzem, nazywali go *le cher comte polonais*, admirowali jego dowcip i rozum, na dowód czego pożyczali u niego pieniądze, a nawet koncepta jego i obiady publikowali w niejednym dzienniku. Zgoła żył sobie pan Kazimierz jak w raju, bo choć zabrakło mu czasem pieniędzy, usłużni przyjaciele znajdywali zawsze filantropa jakiego, który dostarczał dobrej monety za liche weksle. Życie tego rodzaju doskonale jest znane, i wcale nie nowe, mianowicie u naszych ziomków, przybywających dla wykształcenia się do Paryża; nie będziemy więc się nad niem rozszerzać i szczegółowo opisywać, ale przystąpimy odrazu do zapowiedzianej sceny.

Było to jakoś w późnej jesieni, która nawiasem powiedziawszy stokroć okropniejsza w Paryżu niżeli w naszej zimnej ojczyźnie. Bo wiatr z deszczem przeciągają na przemiany po ulicach miasta, walą nielitościwie wyjącym i piszczącym głosem o okna wszędzie źle opatrzone, o mury cieniutenkie. Po większej części walczą tam na przeciw tym przewiewnym chłodom samemi kominkami, które niewiele ciepła dają, ale za to w czasie burz, tak częstych w Paryżu, złowrogiemi głosami wtórują tej smutnej harmonii jesiennej. Bogatsi tylko i to z niemałym kosztem mają piecyki, i tam zapewnie ciepło, ale przebiegnij nogą ulice, a myślą wszystkie poddasza i manszardy, tyle i tu i tam zdybiesz nędzy okropnej, ogrzanej tylko gorączką wewnętrzną, że jeżeli masz serce uczuć zdolne, obok pamięci cudów i roskoszy paryskich, zostanie ci w myśli wspomnienie jesieni w Paryżu, jakby jaka mara dusząca. Daremnie wszakże walił deszcz i wiatr o hotelik na ulicy Breda; w pomieszkaniu pana Kazimierza i panny Eugenii było tak ciepło i tak wonno jakby w lecie, a w ich sercach i głowie było za pusto, pstro i zimno, aby ich myśl lub uczucie zastanowiły się nad nędzą tylu innych bliźnich. Była to godzina pożna czyli raczej już ranna, bo choć jeszcze było ciemno i mglisto na dworze, a gazowe świeciły jeszcze lampy, słychać było już turkot do dalekiego grzmotu podobny, tych ogromnych wozów, któremi co ranka zwożą żywność rozmaitą do Paryża. Tylko co właśnie skończył się jeden ze zwykłych nocnych bankietów u pana Kazimierza. Stół jak mówiliśmy pokryty nieładem resztek bankietowych po jednej stronie, a drugi stół zielony pokryty nieładem kart pogiętych, połamauych i podartych po drugiej stronie, świadczyli że się bawiono należycie. Gdybyśmy jeszcze pospieszyli na schody, zdybalibyśmy odchodzących gości pana Kazimierza, i usłyszeli ich rozmowy, równie urywane, jak ich chód niepewny. Wszelka tam była pstrokacizna. Płeć piękną reprezentowało dwie emerytalnych loretek, które przeszły już epokę przypadków, gry, loteryi, i rozmaitych usług młodszym pokoleniom czynionych; było prócz tego parę artystek bulwarowych w komicznych i tragicznych rolach; była jakaś pułkownikowa, której mąż służył pod Boliwarem, a zginął gdzieś w jakichsić Indyach; było nareszcie parę przechodowych loretek, które właśnie znajdywały się między Calais i Dowrem; między ostainim francuzem który je porzucił, a pierwszym anglikiem, którego wszędzie szukali, z zawziętością Kolumba. Między mężczyznami był oczywiście hiszpan, potomek grandów podupadły, politycznie prześladowany, był stary kawaler św. Ludwika, który niewiedzieć gdzie mieszkał, i niewiedzieć z czego żył, ale się zawsze w czas do gry i do butelki pojawił; było ze trzech elegantów z żurnalu wyciętych, jakich zawsze zdybać można około przejścia opery i których pochodzenia, majątków i dochodów nikt nie zna, choć się między sobą wikontują i markizują, w cukierni Tortoniego; było parę artystów pełnych nadziei i przy nadziei urodzenia jakiegoś wielkiego poematu, tragedyi lub obrazu. Był nareszcie feletonista bez gazety i recenzent nadliczbowy, najpoczciwsze pod słońcem stworzenie, bez wczoraj i bez jutra, ale żyjący

dzisiaj pełną piersią. Dodajmy do tego chodzącą zagadkę w postaci mężczyzny o olbrzymich wąsach, surducie zapiętym po uszy, z całą kollekcyą niesłychanych i niewidzianych orderków przy guziku, którego nazwisko jest tajemnicą, spojrzenie groźne i marsowe, a ręce nadzwyczaj zgrabne we wszelkiej karcianej czy bilarowej grze a będziemy mieli wyobrażenie gości pana Kazimierza.

Idą jak mówiliśmy po schodach podrygując i pospieszając z lekka, napici, nasyceni potrawami napojami i pieniędzmi nawet pana Kazimierza, bo takie jakieś losu było zrządzenie, że pan Kazimierz po każdym bankiecie zostawał najpijańszy i najgolszy. To też entuzyjazm, z jakim go całowali i ściskali na pożegnaniu był kolossalny; za drzwiami jeszcze odzywał się dzielnemi zaklęciami i wykrzyknikami, które milkły za każdym schodem. Ba nawet choć nic nie mówili jeszcze, ale twarze z entuzyazmu przechodziły pomału w nieruchomość obojętności, i nawet w skrzywienia się krytyczne. Spoglądali wszyscy po sobie z wyrazem świerzbu językowego, tej we Francyi najniebespieczniejszej i najzaraźliwszej choroby. Aż nareszcie kawaler św. Ludwika pierwszy dał głos myślom towarzystwa całego.

— Il est flambé! a pauvre Casimir.

— Diable! mruknęli Dandysy, zapalając świeże cygara, których pełne kieszenie ponabierali u pana Kazimierza.

— Pauvre petit comte! dodały artystki.

— Pauvre Eugenie! przemówiły loretki na kanale Manszy usadowione.

— Monsieur Stanislas se chargera de la consoler! odpowiedziała jedna z emerytalnych loretek.

— Mais comment le savez vous? pytała wdowa po boliwaroskim pułkowniku, zwrócona do starego kawalera św. Ludwika.

— Peuh! wykrzyknął z miną trudną do opisania. Morbleu! dodał z akcentem przeszłego wieku, i zażył tabaczki ze złotej tabakiery z gracyą przedrewolucyjnego wersalu.

— Il a preté de l'argent a tout le monde! on le remboursera! wtrącił felietonista poczciwy, który jeden nigdy grosza od pana Kazimierza nie pożyczył, zwracając wzrok swój mimowolnie na orderowego wąsacza.

Orderowy pan nic nie rzekł, ale postawił marsa tęgiego, i wąsy nakręcił marcyjalnie, na dowód że jeżeli pożyczał i wiele pożyczał, gotów jest oddać — pchnięciem szpady, do której był równie zgrabny jak do kart i bilaru.

— C'est un homme mort! zreassumował to wszystko stary kawaler z przyciskiem filozoficznym, wrzucając tabakierę do kieszeni kamizelkowej z gestem ryszeliewskim.

I wyszli na ulicę zacni goście i przyjaciele pana Kazimierza. A na górze zostali kochankowie sami. Nie zupełnie sami, bo przy bocznym stoliczku, na którym kilka butelek stało nadpoczętych i pełnych jeszcze, naprzeciw pana Kazimierza wybladłego i wychudłego niepospolicie, siedział mężczyzna jakiś, podczas gdy panna Eugenia chodząc i tu i tam po pokoju, zawijała papiloty z minką obojętną. (D. c. n.)

OBRONA SOKOŁOWA.

Śpiew bohaterski
w IX. pieśniach.

Pieśń VIII.

(Ciąg dalszy.)

Podczas gdy Marek czułe miał rozstanie,
Ukończył Jacek Tatara badanie,
A Tatar zeznał jakby na spowiedzi,
Bo tęgi kostur koło Jacka siedzi,
Wyznał z pokorą, gdzie co spalił, złupił,
Że Lwów nie wzięty, ale się okupił,
Że waleczniejsze od mieszczan oręża,
Było ich złoto co wszystko zwycięża.

Spojrzał Przytocki na Kubę z ukosa,
I słowo „kłamca” wybąknął z pod nosa,
Lecz Ogonowski nie był w ciemię bity,
Żył w nim duch mężny, choć nieco ukryty,
Mocno go bodło to wójta bąknienie,
Odgadł onego tajemne znaczenie;
Więc rzekł: „O panie! toż to więcej wiary
„Mają poganie u was i Tatary,
„Niżeli prawa katolicka dusza?
„Tak ludzki honor łacno się narusza?
„Więcej wierzycie tatarskiej łysinie,
„Niż mieszczanowi zrosłemu w łacinie?”
A gdy to wyrzekł, sam niewie dla czego?
Na organistę spojrzał Grabarskiego.
Knuł organista zdradzieckie zamiary,
Bo go minęła czapka, okulary.
Pojął to Kuba, schwycił się ku niemu,
Rzekł coś do ucha i zapobiegł złemu;
Ruszył Grabarski psalmistemi wargi,
I tak minęły grożące zatargi!
Dalej więc rzecze Kuba ośmielony:
„Tom się doczekał, że jeden niechrzczony
„Więcej ma wiary, niż dwóch chrześcianów?
„Niech pan Cisowski przekona waćpanów!”
Ale Cisowski dziś słaby w języku,
Przez dzień tak długi nie zrobiwszy łyku,
Zresztą nie bardzo był pewny swej sprawy,
Przeto w milczeniu powstał tylko z ławy,
Wyszukał Jankla, wynurzył swe żale,
Dzban uścisnąwszy w młodzieńczym zapale,
Zapił swe troski, i najlepiej zrobił,
Chociaż Aurorę swą ucieczką dobił.
Powstał śmiech pusty z posła Jegomości,
Młody i stary śmiał się do sytości;
A Kuba jakby pod pręgierzem stoi,
I serce w męstwo, lecz daremnie zbroi.

W końcu śmiech ustał; bo dalsze badania
Dały im poznać, że nie czas do śmiania;
Zeznał Tatarzyn, że nazajutrz z rana
Pomszczona będzie dzisiejsza przegrana,
Że z łańskiej cerkwi czarnemi szczątkami
Nad błotnistemi stanie most fosami,
Że na tym moście rozstrzygną się losy,
Klęski, tryumfu odezwą się głosy!

Kazał Przytocki jeńca odprowadzić,
I przyzwoicie w kozie go osadzić.
„Cóż mamy robić panowie mieszczanie,
„Jeśli nam błota i chwastów niestanie?
„Już naszej broni i tak bardzo mało:
„Beczek, faseczek, antałków nie stało,
„Nawet bosakom już chwieją się zęby,
„I z pobijaczów sypią się otręby,
„Szpikulce, farby, smoły, muzgomiary,
„W brzuchach i gardłach zabrali Tatary;
„Jakże się bronić, kiedy nie ma broni?
„Z czem ruszyć w pole, gdy nie ma nic w dłoni?

Ale Borodaj serca młodzieńczego,
Z pogardą zmierzy Jacka Przytockiego:
„Do paralusza! co? nie ma nic w dłoni?
„W każdej pięć palców, czy niedosyć broni?
„Więc z całą pięścią hejże na Tatara,
„Wiwat Sokołów, wiwat święta wiara!"
A Rękasowski za ręce go chwyta:
„Z waszych ust rada zawsze wyśmienita,
„Póki w was życie, Sokołów nie zginie,
„Bo w waszych żyłach krew rycerska płynie,
„A gdyby mężom odwagi niestało,
„Jest tu i kobiet walecznych niemało,
„Tak jest panowie! niech powie sam Kuba,
„Niejedna na nim odbyła się próba."
Śmiech powstał nowy; nie czuł Kuba śmiechu,
Siedząc znękany bez słuchu, bez dechu,
Ale Gromada będąc w zadumaniu,
Nie uczestniczył w tem Kuby wyśmianiu,
„Panowie!" — rzecze, „my inną broń mamy,
„Ostateczności zawcześnie sięgamy,
„Nie wszystka jeszcze zużyta broń nasza,
„A ową bronią jest, jaglana kasza!
„Alboż opatrzność tylko dla jedzenia
„Dała nam tyle prosa i jęczmienia?
„Mam ja tu jagieł dwie potężne fury,
„Zgotujem, wlejem sikawkom do dziury,
„I nuż na wrogów i strzelać i sikać,
„Aż muszą ślipie zamykać i zmykać,
„To jest broń nasza, to broń narodowa,
„Więc kaszą brońmy murów Sokołowa,
„A kto się lęka, za piec, kto się straszy,
„A my tymczasem bierzmy się do kaszy!"

Zdumieli wszyscy słuchając Gromadę,
Lecz za zbawienną uznali tę radę,
I tak im w serce trafiła ta mowa,
Że jednogłośnie ryknęli w te słowa:
„Wiwat Gromada! wiwat ziemia nasza!
„Wiwat Sokołów i jaglana kasza!"
A głos z pod szopy odezwał się wtórem,
Jakby w zawody szedł z niedźwiedzi chórem,
„Hejże na wrogów, hejże na pogany,
„Wiwat Sokołów i Janklowskie dzbany!"

Powstał Przytocki i radcy powstali,
By nowej walce broń przygotowali,
Tymczasem Kubę nadybał Klekawka:
„Ej panie Kubo, co to za przeprawka,
„Którąście mieli z Tatarami we Lwowie?
„Bo mnie to ciągle snuje się po głowie;
„No, jak wyglądał ten hultaj tatarski,
„Co na was wywarł swój umysł zbrodniarski!?
„Jak tam we Lwowie stoją świńskie targi,
„Czyście do aktów nie zanieśli skargi!
„Coście słyszeli u wielmożnych panów,
„U wojewodów, starostów, hetmanów?
„U Bernardynów czyście na mszę dali?
„W którym kościele was wyspowiadali?
„A gdyście między uczonemi byli,
„Czyście po grecku się nie nauczyli?
„Bo przy łacinie greka nie zawadzi,
„Ej panie Kubo, czyście mi nieradzi?
„Nic nie mówicie? że poseł, już hardy!!"
Ale Aurora dziś jak skała twardy,
Nie ma ni oka, ni ucha, języka,
I wszystkie drwinki w milczeniu połyka.

A czaty z wału wschodniego wołają:
„Baczność mieszczanie, wrodzy się ruszają!"
Głos się odbija o zamkowe gąty,
Przenika wszystkie komory zakąty,
Krąży z ust do ust, to ginie, zamiera,
To w mieszczan płucach znów mocy nabiera.

Powstało wielkie w zamku zamieszanie,
Nie wiedzą, po co to wrogów ruszanie?
Więc to biegają i sapią nosami,
To patrzą, stają z próżnemi rękami,
Sami do siebie jak przez sen gadają,
I jedni drugich łokciami szturkają.

Grabarski bacząc na różnicę stanów,
Chcąc tylko bronić wielebnych plebanów,
Wlazł na dach zamku, tłustemi podloty,
By lepiej śledzić poganów obroty.
A Tatar w cztery rozbiegłszy się strony,
Depcze jęczmienia i prosa zagony.
Lewita patrzy, a blisko rozpaczy,
Wyszczerza oczy, czy co nie zobaczy,
I patrz, zobaczył! ale coś jasnego,
Co wypuszczone z grona tatarskiego,
Wzbija się w górę, coraz jaśniej błyska:
„O Chryste Jezu! wróg gwiazdami ciska!"
Zaświsła gwiazda koło organisty,
Padł obok niego jakiś grot ognisty,
A organista od wielkiego strachu,
Runął o ziemię z zamkowego dachu!

Tymczasem gwiazdy na piękne świstają,
I na zamkowy dach ogniem padają.
„Na dach mieszczanie! Tatarzyn zuchwały,
„Chce zamek spalić ognistemi strzały."
Drapią się na dach, co za widowisko,
Dziś służy gwiazdom za lichtarz zamczysko.
„Dawajcie wody!" i wody donoszą,
Lecz wrogów strzały gasicielów płoszą;
Dziś i sikawki nie zbawią od szkody,
Bo już niezdatne do sikania wody.
Spiczaste nosy już dziś postradały,
By do jaglanki lepszy pociąg miały.
„Z miechami na dach!" ryknął Rękasowski,
Miechy na dachu! przy jednym Cisowski,
Przy drugim kowal, przy trzecim Gromada,
A czwartym rymarz Roch Klekawka włada;
Tak z czterech części dachu zamkowego,
Dmą cztery miechy z gardła potężnego.
Rękasowskiego najlepsze dmuchanie,
„Hej lepiej dmuchaj mój Cisowski Janie!"
A więc Cisowski w gwałtownym pospiechu,

Dmucha jak cyklop z potężnego miechu,
O! i Klekawka i krawiec Gromada,
Dzielnie dmuchają, aż pot z czoła pada!
I taka burza powstała nad dachem,
Że nabawiała i strzały przestrachem,
Więc gdy dolecą nad burzy granicę,
Nagle ogniste zwracają źreuicę,
I jak nie pyszne z kwitkami odchodzą,
Lecąc z kąd przyszły, w swych przyjaciół godzą.

Tatarzy widząc daremne zabiegi,
Przestali strzelać, zwinęli szeregi,
I z kwaśną miną w tabor powracają,
Ciesząc się zemstą, którą przysięgają.

Zato mieszczanie w różowym humorze,
Skaczą, pląsają po zamkowym dworze;
Wkońcu ryknęli od janklowskiej strzechy:
«Wiwat Sokołów, i kowalskie miechy!»

Nim to się stało, a ostatnia strzała,
Ognistem kołem na zamek leciała;
Wyszła Helena z ciemnego alkierza,
I w czarny obłok ślipięta wyszczerza;
Lekko ubrana, bo dopiero wstała,
Więc i pod szyją chusteczki nie miała.
A w tem niestety! chciwa na jej wdzięki,
Padła jej iskra za gors pulchniuteńki!
Krzykła Helena przeraźliwym głosem,
Dmucha ustami i uroczym nosem.
Zagasła iskra bolu nie zgasiła,
I powyż serca bąbel wysadziła!
Nie dosyć na tem: bo głos przeraźliwy,
W drugiej dziewicy zbudził umysł mściwy,
Poznała Tekla księdzównę po głosie,
I biegnie ku niej po sierpniowej rosie.
Łup, cup, po głowie «tuśmi czarownico?
«Tuśmi niewstydna lalko, obłudnico?»
I nuż do twarzy! «istoto przebrzydła!»
„Ty tu mieszczanom będziesz stawiać sidła?»
I znów po głowie, i znowu po twarzy,
«Smiesz bałamucić miejskich gospodarzy?
«Smiesz im odmawiać uczciwe kochanki,
«Na masz wystójki, a to pogadanki!»
I znów ją bije: do oczu się kusi,
A lewą ręką za szyję ją dusi.
Wtedy Helena srodze zagrożona,
Skoczyła na bok jak lew rozjuszona,
A skoro z czułych objęć się wyrwała,
Silnemi dłońmi za włos ją złapała.
Ciągnie za włosy, wielkie sprawia szyzmy,
I przypomina dawne romatyzmy,
Chwyta za barki, i o ziemię miota,
A na poległą trzewikami grzmota.

Nieszczęsna Tekla nie pisła, nie jękła,
Ale od żalu ledwo że nie pękła,
Że zwyciężona pokazać nie śmiała,
Więc jak nieżywa na ziemi leżała;

Wtedy Helenę ominął duch złości,
Poczuła w sercu uczucie litości,
Lecz na tę bójkę długo pamiętała,
Na Siechowskiego więcej nie spojrzała,
I długo potem poczwarą nękana,
Aż się wzdrygała na widok mieszczana!

Cóż robi Tekla! rosą obmoczona
Leży jak w chwaście postrzelona wrona,
Zresztą powstawszy, mocno zazgrzytała,
Ręce nad głowy strzechą załamała,
Stoi i duma jak rozbita jodła,
Bo w sercu rozpacz piekielna ją bodła.
«Czy żyć?.. w rozpaczy, w katuszy, w sromocie?
«Nie!! w jego oczach utopię się w błocie!!»

Rzekła, pobiegła jak łania ścigana,
Jak straszna widma schyłkiem nocy gnana,
Dopadła wału, gdzie Marek na straży,
O klęsce wrogów, o swobodzie marzy;
A Tekla wodząc wzrokiem błąkającym,
Rzekła doń głosem jak z grobu idącym:
„Patrz barbarzyńco na ofiarę zdrady!
«Już zemnie więcej nie doznasz zawady,
«Ale cię spotka kiedyś kaźń, sromota!...»
I w tem się z wału rzuciła do błota!

Mruknął Siechowski, «oszalała baba,
«Nurzać się w błocie jak jesienna żaba,
«Głupie kochanie, nigdy niesłychane,
«Gdzieś z mądrych krajów do nas zapisane.»

Tymczasem w chwaście coś niby się rusza
Podnosi głowę, to tatarska dusza!
Przyskoczył Tatar, rzucił uździenicę,
Schwycił pod pachy nadobną dziewicę,
Wyciągnął z bagna, uścisnął w ramiona,
Czule ją tuląc do czułego łona.
Goni niecierpliw jak ze skarbem złota,
Ciekaw na wdzięki tej Syreny z błota.
Biedny beznosku, cóż się tobie działo,
Gdy stare babsko na ciebie spojrzało?

A pan Siechowski pozbawiony trwogi,
Życzył im z serca najszczęśliwszej drogi,
A w sercu poczuł tyle szczęścia woni,
Jak gdyby kto go wsadził na sto koni.

Tyle o Tekli opiewa kronika,
A może w Krymie poszła za królika?
Może została sułtańską bohdanką?
Albo przynajmniej Wenery kapłanką?..
Lecz gminna powieść prozaicznie głosi,
Że Tekla w Krymie żydom wodę nosi!

(Pieśń ostatnia nastąpi).

Najnowsze dzieła.

ASMODEUSZ W PARYŻU.

Wspomnienia lekarza polaka przez Dra T. Tripplina.

(Tomów cztery.)

(Ciąg dalszy.)

Karol Menadier nosi przybrane nazwisko, jest on rodzonym bratem pani Daru, która go wprowadza w dom męża, by go zbliżyć do Olimpii, której majątek znaczny chciałaby bratu przysporzyć. Lecz daremne jej usiłowania. Olimpia nie kocha Karola. Pani Daru na wszystkie zbrodnie gotowa, korzysta ze sztucznej podobno niemocy

Olimpii, by ją w sztuczny wprowadzić sen, i wprowadzić do niej brata w nocy. Dziewczyna budzi się, poznaje zbrodnię na niej popełnioną, chce się rzucić z okna. Siostra i brat odciągają od okna, wiążą i rzucają nazad na łóżko. Następują skutki zbrodni; Olimpia chce ratować swój honor i nazwisko dla dziecka, które nosi w łonie, przystaje na tajemne zaślubiny z Karolem, który sam podsuwa inne dziecko dla trzymania Olimpii w swej władzy, dla majątku pana Daru. Zamaskowaną kobietą była Olimpia, zamaskowanym mężem niby pani Daru, a starym sługą sam Menadier. Młody lekarz odkrywa przed Olimpią śmierć jej dziecka, by ją ratować z pod przemocy Karola. Lecz jak się rozwiąże to nowe zawikłanie? co się stanie gdy się dowie o wszystkiem stary Daru, gdy się dowie młody margrabia, będący pod wpływem jednego księdza, oddany zasadom ultramontańskim, który także nie pragnie podobno Olimpii dla niej samej, ale dla majątku. Ciemnę oczy margrabiego spokojne na pozór, jak powierzchnia morza kryjąca tajemniczą głębię, dziwnie patrzą na Olimpią i otaczających ją. Tymczasem Karol Menadier, który rozpoczął nowy romans z jakąś włoszką, mieszkającą od niedawna u pani Peltan, uderzony w nocy sztyletem na jednym z mostów paryskich i rzucony w Sekwanę, umiera. Pada podejrzenie na panią Peltan i ciotkę Asmodeusza; wpada policya i więzi ich. Pojawia się znowu ajent policyi pan Vidocq; robi rewizyę u naszego lekarza i zdaje się wiedzieć o prawdziwym zabójcy pana Menadier. Lecz te wszystkie nowe zawikłania zostają nam tajemnicą, którą autor przyrzeka dopiero odsłonić w drugiej poźniejszej powieści, mającej nam odmalować pobyt jego w Szwajcaryi. Są i inne jeszcze ustępy nie rozwikłane, które pewnym tajemniczym powiazane są węzłem. Najciekawszym jest epizod, który naszego lekarza wygania z Paryża. W środku wszystkich tych opowiedzianych przez nas zdarzeń, ów pan Riffat, założyciel browarów w Burgundyi, którego nasz lekarz wykurował, przysyła mu w darze jakąś ciężką i długą paczkę. W tej paczce jest druga ołowiana niby trumna, a w niej pod banią szklanną, ciało cudnej piękności kobiety, zabalsamowane tak doskonale, że wygląda jakby żywa, jakby spała tylko. Jest to ciało Indyanki, o której tyle się tylko dowiadujemy, że była zoną kolegi lekarza i ziomka Polaka, zmarłego pod Nefszatelem. Co? dla czego? co się stanie z Olimpią, co z margrabią, co z naszym lekarzem dowiemy się z drugiej powieści.

Prócz tych przez nas opowiedzianych epizodów, jest mnóstwo innych ustępów, malujących doskonale społeczeńskie życie Paryża. Jedne pełne żywej komiczności, inne znowu rzewne, do łez prawie poruszające. Są obrazki podróży po Normandyi nad brzegiem morza; starożytnego dobrze zachowanego zamku arystokratycznego, w którym odbywa się naśladowanie dawnych turniejów; jest doktor Francuz, przecudowny; szarlatan, samochwalca; jeździ na ogromnym koniu bułanym, w świetnym mundurze gwardyi narodowej, i gwałtem prawie zdobywa sobie klientów, a baje niestworzone rzeczy z najpocieszniejszą naiwnością o sobie, o swoich stosunkach z królem Ludwikiem Filipem. Trzeba zaiste znać tak Paryż, jak go miał sposobność poznać p. Tripplin, by pojąć że to wszystko obrazki wyjęte żywcem z tego, tyle świetnych i ciemnych tyle różnych i ciekawych barw mającego społeczeństwa. Najrzewniejszym jest ustęp, w którym maluje autor starego emeryta. Pan Berthollet, który karmi swego famulusa łaciną i nauką, staruszek zgrzybiały prawie, był niegdyś żołnierzem rzeczypospolitej, oficerem Napoleońskim, przebył lat kilka w pontonach angielskich i na Syberyi, a przytem uczony geolog, niespracowany zbieracz skarbów geologicznych, dogorywa już i opowiada naszemu lekarzowi życie swoje. Pełnym romantycznej fantastyczności jest pobyt Bertholetta w Szkocyi. Jego miłość do górskiej dziewczyny, opisy gór szkockich, szczególne zabobony, pojawy magnetyzmu tak częste w dawnych klanach szkockich, odbijające się w tym ich drugim wzroku; wszystko to oddał autor z dziwnym urokiem, z prawdziwem mistrzowstwem, które tem najsilniej uderza i objawia się, że artystyczny układ szczegółów jakby draperye okalające obraz, pomaga do wydatniejszego odwzorowania żywej prawdy. I ten Berthollet, tyle lat przebywszy w usługach ojczyzny jako żołnierz, jako uczony, jako profesor, ranami okryty, ledwie wyżyć może z lichej pensyjki którą mu rząd daje. Jego dawni koledzy są marszałkami, parami Francyi, opływają w dostatki, a on wegetuje w lichym hotelu przedmiejskim. Umiera nareszcie stary Berthollet; nasz młody lekarz podaje do gazet artykuł, w którym wymownie przedstawia zapomniane przez współczesnych zasługi zmarłego. Budzi się pośmiertne współczucie, suną zewsząd jenerały, marszałki, parowie, uczeni, członkowie instytutu na pogrzeb biednego starca; król przysyła ministrów parę, sypią się mszy pogrzebowe, i nareszcie entuzyazm do tego dochodzi stopnia, że obecni zrzucają znaczne pieniądze na pyszny pomnik dla zapomnianego póki żył w nędzy rodaka. Nie jestże to prawdziwe! nie jestże to rzewne!

Dwa jeszcze w końcu podnieść musimy szczegóły, które nas uderzyły w tej powieści, i które jej w oczach naszych jako ziomków pana Tripplina wielką nadają zaletę. Są to przedewszystkiem jego własne uwagi tu i owdzie porozrzucane, wyglądające czasem na aforyzmy, ale pełne trafności, i zdradzające niepospolitą i głęboką znajomość jego ludzi i społeczeństw w jakich żył. Czy może być co trafniejszego nad ten lekko rzucony obraz Anglików. „W charakterze żelazo, w muzgu złoto, w sercu węgiel ziemny co wszystko osmoli czego się dotknie; w nogach zaś merkuryusz co im pokoju nie da, takiemi są Anglicy: Każdy Anglik to osobna maszyna w swoim rodzaju: myśli, działa dla siebie samego, ale że myśli i działa razem z

innemi, więc też wszystkim się zdaje, że działają dla ogółu, i unoszą się nad własnym patryotyzmem.” Albożczyli nieprawdziwe to porównanie: „Rzecz to jest zastanawiająca, że nowsze pokolenie Francuzek więcej podobne do naszego starszego, i że nowsze pokolenie Polek więcej się zbliża wychowaniem i dążnościami do owych dam francuskich ośmnastoletniego stulecia, żyjących za panowania Ludwika XV. Co tam już oddawna wyszło z mody, bo się pokazało szkodliwem, do szczęścia nie wiodącem, to u nas jeszcze upowszechnionem jest jako coś bardzo modnego, niezmiernie skutecznego, wykwintnego.”

Drugim szczegółem jaki nas zajął mocno w tej powieści, jest sama indywidualność autora, który jako główny aktor dramatów przez siebie opowiedzianych, mimowolnie sam siebie odmalować musiał. Indywidualność ta występuje jasna, czerstwa myślą, dzielna charakterem, szlachetna sercem. Stanowisko działań i uwag czynionych jakie zajmuje autor w swych pamiętnikach, ujmuje pomimowolnie czytelnika, a zdręczonego brudnemi stronami społeczeństwa ludzkiego pociesza niejako, unosząc w jaśniejszy świat wiary, czerstwości umysłowej i cnót wszelkich, jakich człowiek jest zdolny. I rzecz dziwna, czytając ten jego obraz, który mógłby się wydać płytkiemu czytelnikowi mniej potrzebnem chwaleniem siebie samego, nie uważamy je tem. Dla czego? bo mimowolnie czujemy prawdę w tym obrazie, bo nareszcie miło nam jest, poznać w tym obrazie, surowość, dzielnosć, sumienność i te wszystkie inne cnoty, które tak długo nazywać mogliśmy prawdziwie polskiemi zaletami.

Sewastopol

O 2. z południa zaczęły pokazywać się nam w dali brzegi: z razu majaczyły one tylko oczom; przez lunetę odznaczały się jak szara smuga; dalej zaczęły bieleć przed nami baterye sewastopolskiego portu i wieże kościołów, i coraz więcej i więcej wydobywało się z morza miasto, jakby zaklęte wychodziło ono z wody na rozkaz wróżki. Nasamprzód, wchodząc w zatokę, z jednej i z drugiej strony ciagnęły się baszty, przez których ziejące strzelnice wyglądały działa; za zbliżeniem się do miasta nieprzyjacielskiej floty, tysiące kul zatopiłoby okręty śmiałków. Przebywszy tę linią, ciągnie się już w porcie, druga podobna, bieżąca do debarkacyi i portu samego. Sewastopol, nowe, białe, wielkie miasto, zabudowane podług planu regularnie jak Mikołajów, jak Odessa; z pierwszem szczególniej wiele ma analogii; jest to pendant do tamtego; tam budują, tu uzbrajają i poprawiają okręta; są to miasta morskie, jak Elisawetgrad i Wozneseńsk są miastami wojennemi kawaleryi ukolonizowanej. Ledwośmy się zatrzymali, zaraz nam przysłali z lądu urzędników komory, którzy zostają na statku, do jego odpłynięcia; to samo powtarza się w każdem mieście nadmorskiem. Okręt staje sto kroków od brzegu; mógłby podejść do samego brzegu, port bowiem sewastopolski jest dziwnym morskim portem; morze kanałem wchodzi w ląd i na kanale tym stoją liniowe okręta, o kilka kroków od brzegu, zakryte od wiatrów i całkiem bezpieczne. Z jednej strony kanału admiralicya, przypominająca admiralicyą mikołajowską, z drugiej miasto; komunikacya tylko łodziami jest możliwą. Do morza z miasta prowadzą wschody, z kilkunastą stopni tylko. Białe marmurowe lwy oskalają zęby i jeżą grzywy, strzegąc portu. Wszedłszy na wschody, wchodzi się do miasta przez bramę w kształcie greckiego portyku; w niszach posągi z białego marmuru; od morza Minerwa i Merkury; od miasta Ceres i Dianna. Spragnieni poszliśmy zaraz odszukiwać hotelu albo cukierni. Z portu przyczepił się do nas żołnierz, który przemawiał do naszej kieszeni, grając rolę Krakowianina, ale żydowszczyzna była widoczna w jego mowie. Szliśmy najparadniejszą ulicą; wszystko w całem mieście świeże, zdaje się, iż całe miasto wyszło z morza, jak w bajce, w przeciągu jednej nocy. Portyk wystawiony 1846. roku; dom zgromadzenia szlachty 1843. Większy tu ruch jak w Mikołajowie, ale tu jak i tam, sami wojenni, marynarze; wszystko tu nosi cechę morza; hotel np. pod złotą kotwicą, zupełnie symbol zastósowany do charakteru miasta. Kotwica była dla naszych zgłodniałych żołądków symbolem nadziei, tam też zarzuciliśmy naszę kotwicę, wprzód zaszedłszy do cukierni na lody. Kazawszy o 6tej przygotować herbatę, wyszliśmy na parę godzin do miasta. Nasamprzód udaliśmy się na wyniosłe miejsce dla obejrzenia cerkwi greckiej Piotra i Pawła. Pod względem architektury jest to kopia świątyni Tezeusza w Atenach, przypominająca takoż La sainte Madeleine w Paryżu; świątynia grecka, z kolumnadą w około, z której wierzchołka świeci krzyż złotym promieniem; widok tu piękny na całe miasto. U wchodu marmurowe posągi śś. Apostołów. Te kształty starożytnej sztuki heleńskiej przywiodły mi na myśl cały myth grecki o Ifigenii, Orestesie, Agamemnonie i królu Toasie; stanęła w myśli Taueryda, dzika, tajemnicza, leśna. Szliśmy dalej, zdążając do opatrzenia sławnych doków suchych. Nad spadzistą górą stał dom; na balkonie siedziała piękna, młoda kobieta i patrzyła na okręta olbrzymie stojące w kanale u stóp góry, na admiralicyą za wodą i na szerokie morze, rozścielające się daleko. U bramy kilka dziwnie pięknych angielskich wyżłów łasiło się do nas i biegło za nami aż do miejsca kędy wąziutkie ścieszki wiodły na dół do brzegu. Spojrzeliśmy na drogę, nadzwyczajna spadzistość; kamienie, burzany, i na dole olbrzymie budowy liniowych okrętów wojennych. Oglądaliśmy się za siebie, na balkonie piękna młoda kobieta, w białej muslinowej sukience, z miękkiemi blond włosy; zjawisko to zdawało się odradzać nam abyśmy nie chodzili po przykrej drodze, a psy skakały nam na szyję jakby zapraszając w progi tej morskiej najady. Jednakże wyrwaliśmy się od tej Kalipsy i zaczęliśmy się spuszczać na dół, chwytając się, to za burzan spalony od słońca, to czasami zsuwając się mimowolnie po spadzistości; bywały miejsca, gdzie się zatrzymywała ścieszka; ze trzy łokcie było prostopadłych; potrzeba więc było się zawieszać na łodydze bodiaku i tak dostawać innej ścieszki, która także prawie prostopadle schodziła na doł. Przypomniałem sobie zdarzenie jakie tu spotkało Demidowa, Geologa Huet'a; spadł na dół i omdlał; kiedy go towarzysze chcieli podnieść, w żaden sposób udźwignąć nie mogli; pokazało się wkrótce, iż miał przynajmniej pud kamieni w kieszeniach i kiedy je poczęli wyrzucać, dopiero otrzeźwił się uczony i od razu nabrał sił, aby stanąć w obronie swoich skarbów geologicznych. (D. c. n.)

Rozmaitość.

* Cesarzewicz Jegomość zwidzał pozawczoraj gmach ratuszowy, i wszystkie urzęda i szkoły tamże umieszczone. W przeszłym tygodniu przy zwiedzaniu kościoła OO. Franciszkanów raczył Jego Cesarzewiczowska Mość odwiedzić łaskawie księdza biskupa Gutkowskiego w tymże klasztorze mieszkającego, a pozawczoraj prezentowany był Cesarzewiczowi jenerał Dwernicki. Cesarzewicz w sobotę odjeżdza do Wiednia. Podczas pobytu swego we Lwowie, zjednał sobie Cesarzewicz serca wszystkich swem pełnem łaskawości obejściem się, i udziałem jaki we wszystkich sprawach krajowych bierze. Polacy, wysunięci na przednie straże katolickiego świata, i

bronić go zawsze gotowi, czy orężem czy słowem, umieją cenić wysoce tę głęboką religijność, której Cesarzewicz jest wzorem. Powrotu rychłego Cesarzewicza oczekiwać będą z upragnieniem.

* Z gratulacyjnym hołdem dla Najjaśniejszej Pary wybiera się deputacya z Galicyi do Wiednia. Na czele tej deputacyi będzie JEx. hr. Namiestnik. Dygnitarze krajowi, szambelanowie, obywatelstwo wiejskie i miejskie będzie reprezentowane w tej deputacyi. JEx. hr. Namiestnik ma wyjechać do Wiednia w poniedziałek Wielkanocny.

* **Piszą nam z Krakowa:** Artykuł umieszczony w N. 29 skutkował (Feuilleton Czasu). Jeszcze w ten sam dzień pan Kirchmajer, jeden z głównych entreprenerów «Czasu» udał się do p. redaktora feuilletonu robiąc mu wyrzuty, za jego dotychczasową niedbałość! Na co p. Lucyan S. wyrazić się miał: że sława jego literacka zanadto jest ustaloną, ażeby ją w czemkolwiek naruszyć był w stanie podobny artykuł, umieszczony w dzienniku, którego wartość niżej Świstka kładzie! A zresztą biorąc 5.000 złp. tj. 1,250 reńskich w mon. konw., mówił p. Siemiński, każdy przyzna, że trudno by było za tak lichą summę trwonić czas na wypracowanie artykułów do feuilletonu. Płaćcie z osobna za każdy artykuł, czy to przezemnie, czy przez kogo innego wypracowany, a będziecie mieć lepszy feuilleton. A kiedy p. Kirchmajer ogłosił, iż on i cała spółka nie byłaby wcale od tego, posłano w skutek tego do p. Pola prosząc go, by za wyznaczoną opłatę pozwolił w feuilletonie umieszczać najświeższe poezye swoje.

* Gazeta Kościelna wiedeńska w kilku artykułach pisze o ucisku kościoła katolickiego pod rossyjskiem panowaniem.

* Francuskie dzienniki doniosły, iż młody francuz, chcący wstąpić do wojska i popłynąć do Orientu a od komissyi wojskowej uznany za niezdolnego, wystrzałem z pistoletu z rozpaczy życie sobie odebrał. Z Southampton zaś donoszą, iż żona angielskiego żołnierza, której niepozwolono towarzyszyć mężowi w wyprawie morskiej, przebrała się za żołnierza i stanąwszy w szeregu dostała się wraz z wojskiem na okręt. Dopiero w dalszej podróży podstęp jej odkryto.

* Wszyscy prawie dotychczasowi członkowie opery i teatru niemieckiego odjeżdżają przed Wielkanocą ze Lwowa, a inni natomiast są poangażowani. Na miejsce pani Kirchberger przyjedzie panna Clement. Na miejsce pana Varry, pierwszego komika pan Feistmantel. Panu Varremu przyjaciele i czciciele jego onegdaj ofiarowali na pamiątkę srebrny puhar.

Jutro na dochód panny Szuszkiewiczówny: **Stoliki magnetyczne.** —

Do dzisiejszego numeru dołączone dwie ryciny:

Rycina pierwsza. 1). Ubiór ranny panny młodej. Włosy zaczesane a l'imperatrice. Gałązka pomarańczowego kwiatu spada po jednej stronie głowy a z drugiej bukiecik białych róż. Welon tiulowy z tyłu spadający. Suknia z białej materyi obszywana ruchami blondynowemi. Stanik wysoko zachodzący gładki, z baskiną wycinaną. Brzegi baskiny również jak i stanik cały obszyty blondynowemi ruchami jak spodnica. Rękawy *pagode* wycinane i tak samo obszyte, spodnica o dwu falbanach ruchami blondynowemi obszyta. Rękawki szerokie tiulowe z wstążką koło ręki i szeroką koronką spadającą na rękę obszyte.

2). Ubior do kumunii. Włosy à la Vierge. Welon z przezroczystego muszlinu zaobrębiony u dołu, welon ten położony jest tak na głowie, iż obejmuje czoło i spada na twarz, przytrzymuje go wieniec biały stokroci. Stanik na kształt canezou z muszlinu w bufki z wstawkami koronkowemi. Rękawy takie same z bufek i wstawek koronkowych. Pas z wstążki morowej z atłasowemi brzegami, z przodu związany fontaź z długiemi końcami. Spodnica muszlinowa podwójna z koronkowemi wstawkami po nad obrąbkiem. Trzewiki białe atłasowe. Ubiór chłopczyka 7 do 8 lat mającego. Sukienka aksamitna na kształt bluzy, z przodu otwarta. Rękawy krótkie z atłasowemi wyłogami, rcwnież i z przodu sukienka przyozdobiona atłasowemi wyłogami, pomiędzy któremi wygląda listewka aksamitna guzikami atłasowemi przyozdobiona. Pas czarny z klamrą stalową. Kamasze czarne, kołnierz koronkowy do góry stojący, krawatką atłasową związany, żaboty koronkowe, półkoszulek z wstawkami, rękawy szerokie batystowe, koronką koło ręki obszyte. Spodnie batystowe z szeroką koronką.

Rycina druga. Nr 1. Czypek ranny z jedwabnego tiulu, przystrojony wstążeczkami gazowemi pąsowemi. Chusteczka tworząca główkę czepka jest z tiulu czarnego, aksamitkami czarnemi obszyta. Nr. 2. Czepeczek w sposób chusteczkowy zwany *fanchon* z czarnej koronki. Chusteczka ta ubrana jest aksamitnemi fontaziami. Nr. 3. Półkoszulek zwany *mousquetaire* z muszlinu, haftowany atłaskiem, kołnierz dokoła obszyty koronką. Półkoszulek gładki, obszyty dwoma szlarkami, formującemi żaboty, a bufka muszlinową przez którą wstążka przeciągnięta wzdłuż półkoszulka po obu bokach przyozdobiony; trzema fontaziami z wstążek spięty jest ten półkoszulek z przodu. Nr. 4. Stanik *imperatrice* z samych wstawek i bufek muszlinowych. Kołnierz i baskina bogato zahaftowane. Rękawy tak samo z bufek i wstawek zrobione, szeroką szlarką w zęby haftowaną obszyte. Nr. 5. Półkoszulek *Louis XIII.* batystowy, obrąbek z przodu stebnowany i guziczkami przyozdobiony. Po obu stronach szlarka na kształt żabotów. N. 6. Półkoszulek *Cinq-Mars* w malenkie zakładki i żaboty.

Przyjechali dnia 3. 4. i 5. kwietnia do Lwowa:

PP. Chwalibóg Jan, z Lipowiec. Cywiński Franciszek, z Delejowa. Domaradzki Seweryn, z Staniemirza. Padlewski Adam, z Złoczowa. Smarzewski Franciszek, z Tarnopola. Strzelbicki Maxymilian, z Żółkwi. Załęski Antoni, z Romanowej woli.

PP. hr. Borkowski Mieczysław, z Mielnicy. hr. Fredro Kordula, z Pacykowa. Garwoliński Wincenty, z Strussowa. Karasiński Antoni, z Chlebowiec. Kęplicz Kajetan z Zaleszczyk. Liskowacki Józef, z Załuża. Małecki Józef, z Bawarowa. Medwey Franciczek, z Stupnic. hr. Mier Henryk, z Buska.

PP. Brykowicz Grzegorz, z Wyrbowczyk. Kapiszewski Jan, z Domaraża.

Wyjechali dnia 3. 4. i 5. kwietnia ze Lwowa:

PP. Baselli Baron, do Krakowa. h. Baworowski Wiktor, do Mikuliniec. Pilatowski Marcel, do Bobrki. Skrzyszewski Józef, do Syweryńki. Sobolewski Eliasz, do Pzeworska.

PP. Biliński Jan, do Huty. Jabłonowski Franciszek, do Wierzbicy. Majewski Stanisław, do Wiednia. Podhayski Piotr, do Krakowa. Tomanek Jan, do Złoczowa. Turek Franciszek, do Stryja.

PP. Smólski Józef, do Kobylnicy. Staszewski Maxymilian, do Żółkwi.

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	14	złr.	6	kr.	16.
Dukat cesarski	"	6	"	16	"	6	"	20.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	52	"	11	"	—
Rubel srebrny rosyjski	"	2	"	6	"	2	"	8.
Talar pruski	"	2	"	3	"	2	"	5.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	31	"	1	"	32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	92	"	40	"	93	"	10.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	—	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	138.	Medyolan za 300 lirów	$137\frac{1}{4}$.
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	$163\frac{7}{8}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	138.	Agio duk. ces.	$41\frac{1}{2}$
		Srebra agio	38.
Genua	—	Pożyczka 5% $85\frac{1}{4}$. $4\frac{1}{2}$	$76\frac{1}{8}$.
Hamburg za 100 tal. banco.	$102\frac{1}{2}$.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	1156.
Liwurno	135.	Kolej północna	2195.
Londyn za 1 funt szterl.	13. 34.	Obl. ind. 5%.	83

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**